Zanim otworzysz następną butelkę

Nie chce być częścią jego starannie ułożonej opowieści



Laura Bellini

Zanim otworzysz następną butelkę

Nie chce być częścią jego starannie ułożonej opowieści

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384906170

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie było w umowie 10
Rozdział 2 - To, czego nie wpisuje się do harmonogramu 20
Rozdział 3 - To, czego nie da się zaplanować 32
Rozdział 4 - Poza kadrem..... 42
Rozdział 5 - Prawo do własnego wieczoru 55
Rozdział 6 - Smak, którego nie da się pomylić..... 67
Rozdział 7 - Między tym, co widać, a tym, co jest 80
Rozdział 8 - Poza granicami winnicy..... 94
Rozdział 9 - Kiedy plan przestaje wystarczać.....107
Rozdział 10 - Zanim otworzymy następną butelkę 117
Rozdział 11 - Poranek bez obietnic 132
Rozdział 12 - Rodzinny podpis.....142
Rozdział 13 - Cena pięknej historii.....153
Rozdział 14 - To, co zostaje między nami 166
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedział..... 177
Rozdział 16 - Granica, której nie można przesunąć.....190
Rozdział 17 - Każdy musi wybrać własną stronę..... 200
Rozdział 18 - Pierwszy rachunek za prawdę.....210
Rozdział 19 - Prawda ma swoją cenę 222
Rozdział 20 - Zanim otworzymy następną butelkę 232

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam w winnicy Rataja, był zapach rozgniecionych winogron. Słodki, ciężki, mieszający się z wilgocią ziemi i chłodem nadchodzącego wieczoru. Drugą były skrzynki ustawione w równych rzędach przed budynkiem gospodarczym. Trzecią — mężczyzna, który właśnie przestawiał jedną z nich, chociaż stała dokładnie tam, gdzie powinna.

Zatrzymałam samochód przy drewnianej bramie i spojrzałam na zegarek. Miałam czterdzieści minut. Wystarczająco dużo, żeby zrobić kilka zdjęć, zebrać materiał do własnych notatek i zdążyć wrócić do pensjonatu przed zmrokiem. Następnego dnia zaczynała się właściwa praca. Dzisiaj chciałam jedynie sprawdzić miejsce, światło i ludzi. Bez harmonogramu, bez oficjalnych wypowiedzi, bez uśmiechów na zawołanie.

Od kilku miesięcy pracowałam nad pomysłem książki kulinarnej, która nie miała być kolejnym zbiorem przepisów na efektowne dania z produktów, których nikt nie potrafił znaleźć w zwykłym sklepie. Chciałam opowiedzieć o jedzeniu związanym z miejscem, porą roku i ludźmi, którzy naprawdę wiedzieli, skąd bierze się to, co trafia na stół. Wydawca nie obiecał mi jeszcze umowy. Dostałam jednak szansę przedstawienia fragmentu projektu, a ja nie zamierzałam jej zmarnować.

Winnica na Dolnym Śląsku wydawała się idealna. Winogrona dojrzewały, ludzie pracowali od świtu, a sezon miał zakończyć się kolacją, którą organizatorzy chcieli uczynić czymś więcej niż zwykłym podziękowaniem dla pracowników. Miałam dokumentować zbiór i pomóc

przygotować opowieść o miejscu, które od lat budowało swoją pozycję na lokalnym rynku. Zlecenie było dobrze płatne, a materiał mógł stać się częścią mojej przyszłej książki.

Pod warunkiem, że nie pozwolę nikomu napisać tej historii za mnie.

Wyjęłam aparat, zawiesiłam go na szyi i ruszyłam w stronę rzędów winorośli. Słońce schodziło już nisko, nadając liściom ciepły, niemal miedziany odcień. Zrobiłam kilka zdjęć dłoni zbierających owoce, starych drewnianych skrzynek i śladów ziemi na butach jednego z pracowników. Nie interesowały mnie perfekcyjnie czyste kadry. Wolałam niedoskonałości, bo właśnie one sprawiały, że miejsce wyglądało prawdziwie.

Przy końcu jednej z alejek dostrzegłam dwóch mężczyzn. Rozmawiali cicho, ale ich postawy mówiły więcej niż słowa. Starszy trzymał w dłoni kartkę, młodszy wskazywał na fragment zbocza. Nie wyglądało to na zwykłą rozmowę o terminie zbioru. Kiedy podeszłam bliżej, starszy schował dokument do kieszeni, a młodszy odwrócił się i odszedł bez pożegnania.

Zrobiłam zdjęcie pustej alejki, zanim ktokolwiek zdążył wejść mi w kadr.

— Tego miejsca lepiej dzisiaj nie fotografować.

Głos dobiegł zza moich pleców. Odwróciłam się.

Mężczyzna, którego wcześniej widziałam przy skrzynkach, stał kilka kroków ode mnie. Miał około czterdziestu lat, ciemne włosy z pojedynczymi srebrnymi pasmami przy skroniach i koszulę z podwiniętymi rękawami. Nie wyglądał jak ktoś, kto spędził popołudnie na pozowaniu do materiałów promocyjnych. Na przedramieniu miał smugę

ciemnego soku winogronowego, a na dłoni drobne zadrapanie.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Bo nie ma tam nic, co warto pokazywać.

Spojrzałam na alejkę, potem na niego.

— To ciekawe. Przed chwilą wydawało mi się, że właśnie tam jest najwięcej do zobaczenia.

Przez moment przyglądał mi się bez uśmiechu. Nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś odpowiada mu pytaniem. Albo po prostu nie miał ochoty rozmawiać.

— Jest pani z redakcji?

— Nie. Pracuję nad materiałem kulinarnym.

— Czyli jednak prasa.

— Nie całkiem. Piszę książki.

— O winie?

— O jedzeniu. Wino jest czasem jego częścią.

Kącik jego ust drgnął.

— To chyba pierwszy raz, kiedy ktoś tak dyplomatycznie mówi, że nie interesuje go to, czym się zajmuję.

— Nie powiedziałam, że mnie nie interesuje. Powiedziałam, że nie wszystko musi być o winie.

Tym razem uśmiechnął się naprawdę, choć krótko.

Przedstawił się jako Wiesław Rataj. Właściciel winnicy. Powiedział to spokojnie, bez dumy, ale też bez fałszywej skromności. Jego wzrok przesunął się na aparat, a potem na notes wystający z mojej torby.

— Jeśli chce pani zrobić dobry materiał, powinna pani porozmawiać ze mną przed publikacją zdjęć.

— Mogę rozmawiać z każdym, kto ma coś ciekawego do powiedzenia. Nie obiecuję jednak, że wszystkie wypowiedzi znajdą się w tekście.

— Rozumiem, że lubi pani mieć ostatnie słowo.

— Lubię mieć własne.

Przyjął tę odpowiedź bez komentarza. Zauważyłam, że nie próbował się bronić ani przekonywać mnie, że powinnam spojrzeć na sprawę inaczej. Zamiast tego podniósł skrzynkę, którą wcześniej przestawiał, i zaniósł ją pod zadaszenie. Zrobił to bez wołania kogokolwiek na pomoc, chociaż obok pracowało dwóch ludzi.

Było w nim coś, co trudno było pogodzić z pierwszym wrażeniem. Sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do podejmowania decyzji, ale nie takiego, który uważał, że inni powinni wykonywać każdą jego prośbę. Kiedy jeden z pracowników zawołał go z drugiego końca placu, Wiesław natychmiast przerwał rozmowę i podszedł do niego. Słuchał uważnie, nie przerywając. Dopiero później odpowiedział, wskazując inne miejsce składowania skrzynek.

Wróciłam do aparatu. Przez kilka minut fotografowałam zbiór, ale myślami wciąż wracałam do tamtej alejki i dokumentu, który starszy mężczyzna tak szybko schował. Nie zamierzałam wyciągać pochopnych wniosków. Nie znałam ich spraw, nie wiedziałam, co wydarzyło się wcześniej i dlaczego rozmowa zakończyła się w taki sposób. Mimo to zapisałam w notesie krótką uwagę: Rodzinna winnica. Nie wszystko wygląda tu tak spokojnie, jak sugeruje otoczenie.

Kiedy wróciłam na plac, Wiesław rozmawiał przez telefon. Stał przy otwartych drzwiach budynku, jedną ręką opierając się o framugę. Nie mówił głośno, ale wystarczyło, że

znalazłam się kilka metrów bliżej, by usłyszeć urywek zdania.

— Nie teraz. Jutro mamy gości. Nie będziemy tego znowu omawiać przy wszystkich.

Zamilkł, słuchając odpowiedzi.

— Właśnie dlatego musimy zachować spokój.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Kiedy mnie zauważył, jego twarz wróciła do wcześniejszego wyrazu. Jakby przed chwilą nie rozmawiał z kimś, z kim nie potrafił dojść do porozumienia.

— Znalazła pani to, czego szukała?

— Część.

— A reszta?

— Zależy, czy uda mi się ją znaleźć bez czyjejś pomocy.

— Nie jest pani zbyt ufna.

— Mam wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że ludzie często opowiadają o sobie to, co chcą, żeby inni zapamiętali.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. W jego spojrzeniu pojawiło się coś trudnego do nazwania. Może zainteresowanie, może ostrzeżenie.

— A pani? — zapytał. — Zawsze szuka drugiego dna?

— Tylko wtedy, kiedy pierwsze jest podejrzanie dobrze wypolerowane.

Tym razem nie odpowiedział uśmiechem.

Pożegnaliśmy się krótko. Powiedział, że jutro spotkamy się przy głównym budynku, gdzie omówimy szczegóły współpracy. Skinęłam głową, chociaż nie podobało mi się, że zabrzmiało to bardziej jak ustalony fakt niż propozycja.

W drodze do samochodu obejrzałam jeszcze raz zdjęcia na wyświetlaczu aparatu. Na jednym z nich Wiesław znalazł się przypadkiem w tle. Nie patrzył w obiektyw. Stał bokiem do kadru, z rękami opartymi na skrzynce, i rozmawiał z pracownikiem. Wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy przedstawiał mi winnicę. Mniej oficjalnie, bardziej naturalnie.

Zatrzymałam palec nad przyciskiem usuwania, ale ostatecznie zostawiłam fotografię.

Nie chciałam pisać o człowieku, którego znałam zaledwie od kilku minut. Nie zamierzałam też pozwolić, żeby jego obecność zmieniła mój plan. Miałam własną pracę, własny termin i pomysł, który był dla mnie ważniejszy niż kolejna dobrze opłacona współpraca.

A jednak, kiedy uruchomiłam silnik, spojrzałam jeszcze raz w stronę budynku. Wiesław stał w drzwiach i rozmawiał z kimś, kogo nie widziałam. Nie machał na pożegnanie. Po prostu patrzył, jak odjeżdżam.

Pomyślałam, że jutro będę musiała postawić sprawę jasno. Mogłam dokumentować winobranie, mogłam pomóc przygotować kolację, mogłam nawet napisać coś dobrego o tej winnicy. Nie zamierzałam jednak udawać, że wszystko jest idealne, tylko dlatego, że komuś zależało na takim obrazie.

Nie wiedziałam jeszcze, czy Wiesław Rataj potrafił przyjąć historię, nad którą nie miał pełnej kontroli. Wiedziałam za to, że jego spojrzenie zostało ze mną dłużej, niż powinno.

I po raz pierwszy od dawna zastanowiłam się, czy można zbliżyć się do człowieka, nie pozwalając mu jednocześnie zdecydować, kim będziemy w jego opowieści.

Rozdział 1 - Warunki, których nie było w umowie

Następnego ranka przyjechałam do głównego budynku winnicy dziesięć minut przed umówioną godziną. Nie dlatego, że szczególnie zależało mi na punktualności wobec Wiesława Rataja. Po prostu nie lubiłam rozpoczynać współpracy od sytuacji, w której ktoś mógłby uznać, że czekałam na niego zbyt długo. Miałam własny plan dnia, listę ujęć i kilka pomysłów na materiał, które chciałam omówić, zanim ktokolwiek zacznie mi opowiadać, jak powinnam wykonywać swoją pracę.

Budynek był niewielki, ale zadbany. Jasne ściany, drewniane okiennice i szeroki taras wychodzący na winnicę. W środku znajdowało się biuro połączone z niewielką salą degustacyjną. Na jednej ze ścian wisiały fotografie przedstawiające kolejne etapy rozwoju gospodarstwa. Na najstarszej widać było kilku mężczyzn stojących przed niewielkim fragmentem nasadzeń. Na kolejnych winorośle zajmowały coraz większą powierzchnię, a budynek wyglądał na coraz bardziej nowoczesny.

Zatrzymałam się przed fotografią, na której Wiesław stał obok starszego mężczyzny. Obaj byli uśmiechnięci, choć uśmiech właściciela winnicy wydawał się bardziej powściągliwy. Podpis pod zdjęciem głosił: „Tradycja, która łączy pokolenia".

— Podoba się pani?

Odwróciłam głowę. Wiesław wszedł do pomieszczenia z dwoma kubkami kawy.

— Jest interesujące.

— To nie to samo co podoba się pani.

— Nie lubię oceniać zdjęć na podstawie podpisów.

Podał mi jeden kubek. Pachniał świeżo mieloną kawą, bez dodatków.

— Czarna. Zgadza się?

— Nie przypominam sobie, żebym mówiła, jaką piję.

— Wczoraj pani nie zamówiła niczego, kiedy rozmawialiśmy. Pomyślałem, że czarna będzie bezpieczna.

— A jeśli piję z mlekiem?

— W kuchni jest lodówka.

Spojrzałam na niego ponad kubkiem.

— Zawsze tak łatwo rozwiązuje pan problemy?

— Tylko te, które mają proste rozwiązania.

Uśmiechnęłam się mimo woli. Wiesław zdjął z krzesła skórzaną teczkę i położył ją na stole. Nie wyglądał już jak człowiek, którego spotkałam poprzedniego wieczoru przy skrzynkach. Miał na sobie jasną koszulę, ciemne spodnie i zegarek z dość prostą tarczą. Rękawy pozostawił podwinięte, jakby nawet w biurze nie zamierzał całkowicie rezygnować z pracy na zewnątrz.

— Zanim zaczniemy — powiedział — chciałbym ustalić, co dokładnie zamierza pani zrobić.

— Myślałam, że właśnie po to się spotykamy.

— Wczoraj powiedziała pani, że pisze książkę. Chciałbym wiedzieć, jaką rolę ma w niej odegrać nasza winnica.

Wyjęłam notes.

— Nie zamierzam pisać katalogu waszych produktów. Interesuje mnie proces: od zbioru po stół. Chcę pokazać

ludzi, ich pracę, lokalne składniki, sposób przygotowywania posiłków w czasie winobrania. Wino będzie częścią opowieści, ale nie jedynym bohaterem.

— A nasza rodzina?

Pytanie padło zbyt szybko, żeby uznać je za przypadkowe.

— Jeśli będzie miała coś do powiedzenia o gospodarstwie, może pojawić się w materiale. Nie planuję jednak pisać kroniki rodzinnej.

Wiesław usiadł naprzeciwko mnie.

— Właśnie dlatego zaprosiłem panią do współpracy. Nie chcę kolejnej publikacji, w której winnica sprowadza się do kilku butelek i zdjęcia zachodu słońca. Chciałbym, żeby ludzie zobaczyli, ile pracy wymaga ten sezon.

— To akurat możemy zrobić.

— Jest jeden warunek.

Oparłam długopis o kartkę.

— Słucham.

— Nie chcę, żeby fotografowała pani wszystko bez wcześniejszego uzgodnienia. Niektóre miejsca są zapleczem gospodarstwa, a nie częścią ekspozycji dla gości. Chciałbym też zatwierdzać zdjęcia, na których pojawiają się pracownicy.

— Nie mam nic przeciwko uzyskaniu zgody osób fotografowanych. To normalna część mojej pracy. Natomiast nie zgodzę się na zatwierdzanie całego materiału przez właściciela obiektu.

— Nie mówiłem o całym materiale.

— Na razie.

Przez chwilę milczał. Nie wyglądał na obrażonego, raczej na człowieka, który właśnie odkrył, że rozmowa będzie trudniejsza, niż zakładał.

— Rozumiem, że zależy pani na niezależności.

— Zależy mi na wiarygodności. To trochę więcej niż kwestia zawodowej dumy.

— Nie zamierzam pani dyktować, co ma napisać.

— Dobrze. W takim razie nie będziemy mieli problemu.

Wiesław otworzył teczkę i wyjął kilka kartek. Znalazłam na nich harmonogram winobrania, listę osób odpowiedzialnych za poszczególne zadania oraz wstępny plan kolacji kończącej sezon. Dokument był przygotowany starannie. Każda godzina miała swoje miejsce, a przy nazwiskach widniały krótkie opisy obowiązków.

— Kolacja odbędzie się za dwa tygodnie — powiedział. — Chcemy zaprosić pracowników, kilka osób z regionu i naszych stałych partnerów. Zależy mi, żeby nie wyglądała jak wydarzenie promocyjne. Raczej jak prawdziwe podsumowanie sezonu.

— Ile osób?

— Około trzydziestu.

— A menu?

— Mamy kilka propozycji. Chciałbym, żeby pani pomogła je uporządkować. Nie oczekuję, że będzie pani gotować za nas. Zależy mi na opowieści o produktach, z których korzystamy.

Przesunął w moją stronę kolejną kartkę. Były na niej zapisane nazwy lokalnych dostawców, rodzaje serów, warzyw i mięs. Niektóre pozycje opatrzono odręcznymi uwagami.

Zaczęłam czytać. Im dłużej patrzyłam na listę, tym bardziej podobał mi się pomysł. Nie było tu przesadnie wymyślnych składników ani prób udawania restauracji z przewodnika kulinarnego. Ktoś rzeczywiście pomyślał o tym, co można przygotować z produktów dostępnych w okolicy.

— Kto układał menu?

— Ja i kucharka, która odpowiada za posiłki dla zespołu.

— Pani nazwisko?

— Marta. Pracuje z nami od sześciu lat.

— Chciałabym z nią porozmawiać.

— Oczywiście.

— I zobaczyć kuchnię.

— Oczywiście.

— I porozmawiać z ludźmi, którzy pracują przy zbiorze, bez pana obecności.

Wiesław uniósł brwi.

— Dlaczego bez mojej obecności?

— Ponieważ ludzie zachowują się inaczej, kiedy właściciel stoi obok. Nie musi pan niczego robić. Sama świadomość, że może pan usłyszeć odpowiedź, wystarczy.

Przez moment miałam wrażenie, że zaraz zaprotestuje. Zamiast tego odchylił się na krześle.

— Ma pani dość konkretne wyobrażenie o tej pracy.

— Mam doświadczenie.

— Widać.

Nie zabrzmiało to jak komplement wypowiedziany z uprzejmości. W jego głosie pojawiła się nuta uznania, która sprawiła mi przyjemność bardziej, niż chciałam przyznać.

— W zamian — kontynuowałam — mogę przygotować dokumentację zbioru, krótkie rozmowy z pracownikami i materiał kulinarny związany z kolacją. Dostanie pan zestaw fotografii do wykorzystania w komunikacji winnicy na podstawie osobnej licencji. Nie oddaję praw autorskich.

— Nie zamierzałem o to prosić.

— Wolę mówić o takich rzeczach na początku.

— W takim razie proszę mówić dalej.

Przez kolejne kilkanaście minut omawialiśmy szczegóły. Ustaliliśmy, że nie będę fotografować dokumentów finansowych ani prywatnych pomieszczeń. Pracownicy sami zdecydują, czy chcą wystąpić w materiale. Każda osoba będzie mogła przeczytać swoją wypowiedź przed publikacją, ale nie otrzyma prawa do zmieniania całej historii. Wiesław zaakceptował również to, że nie będzie zatwierdzał moich opisów.

Została kwestia, która od początku wydawała mi się najważniejsza.

— Chciałabym wiedzieć, kto będzie podejmował decyzje dotyczące kolacji — powiedziałam.

— Ja odpowiadam za organizację.

— A kucharka?

— Marta odpowiada za kuchnię.

— Czyli jeśli zaproponuje zmianę menu, będzie mogła ją wprowadzić?

— Jeśli będzie uzasadniona, tak.

— A jeśli nie spodoba się panu?

Wiesław przyjrzał mi się uważniej.

— Wtedy porozmawiamy.

— To nie jest odpowiedź.

— Nie musi pani traktować każdej różnicy zdań jak negocjacji handlowych.

— A pan nie musi traktować każdej decyzji jak swojej.

Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie bez słowa. W końcu Wiesław zamknął teczkę.

— Dobrze. Marta ma decydujący głos w sprawach kuchni. Ja odpowiadam za budżet i organizację. Pani za dokumentację i materiał.

— Teraz możemy pracować.

Wstałam, schowałam notes i sięgnęłam po aparat. Wiesław również podniósł się z krzesła.

— Chciałbym pokazać pani część gospodarstwa.

— Mogę pójść sama.

— Wiem. Ale są miejsca, w których łatwiej będzie wyjaśnić kilka rzeczy, jeśli będę obok.

Wyszedł pierwszy, a ja ruszyłam za nim. Na zewnątrz słońce zdążyło już rozgrzać kamienne płyty tarasu. Z oddali dobiegały głosy pracowników i odgłos przesuwanych skrzynek. Wiesław szedł spokojnym krokiem, nie próbując narzucać mi tempa. Zatrzymywał się przy kolejnych rzędach, wskazując odmiany winorośli i opowiadając o różnicach w terminach zbioru.

Słuchałam uważnie. Wiedział więcej, niż sugerował jego oszczędny sposób mówienia. Potrafił wskazać krzewy, które wymagały szczególnej opieki, pamiętał nazwiska ludzi odpowiedzialnych za poszczególne fragmenty upraw i zauważał nawet drobne zmiany w stanie owoców. Nie opowiadał o winie językiem folderów reklamowych. Mówił o

pogodzie, glebie, pracy i decyzjach, które czasem trzeba było podjąć, zanim pojawiły się widoczne skutki.

— Nie wygląda pan na człowieka, który lubi delegować zadania — zauważyłam.

— A pani nie wygląda na kogoś, kto lubi, kiedy ktoś stoi jej nad głową.

— Czyli oboje mamy problem.

— Być może.

Zatrzymał się przy skrzynkach, w których znajdowały się świeżo zebrane grona. Wziął jedno do ręki, obejrzał i odłożył na bok.

— To pójdzie osobno.

— Dlaczego?

— Kilka gron jest uszkodzonych. Nie chcę, żeby trafiły do tej samej partii.

Zrobiłam zdjęcie jego dłoni i skrzynki. Tym razem nie zaprotestował.

— Mogę? — zapytałam, wskazując aparat.

— Już pani zrobiła.

— Pytam, czy mogę zachować.

— Jeśli zdjęcie jest dobre.

— Nie pan będzie o tym decydował.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

— Zaczynam rozumieć, że to będzie długa współpraca.

— Dwa tygodnie. Proszę się nie przyzwyczajać.

Kiedy wróciliśmy na plac, podeszła do nas kobieta w ciemnym fartuchu. Miała krótkie włosy, energiczny krok i

minę osoby, która nie zamierzała tracić czasu na zbędne uprzejmości.

— Wiesiek, potrzebuję decyzji w sprawie stołów.

— Co się stało?

— Te z magazynu nie zmieszczą się w sali. A jeśli ustawimy je na tarasie, będziemy musieli zmienić cały układ kuchni.

— Możemy połączyć stoły z sali i te z magazynu.

— Możemy, ale wtedy ludzie będą siedzieć jak w pociągu.

Wiesław spojrzał na mnie.

— To Marta. Nasza kuchnia i organizacja posiłków.

— Noemi Górska — przedstawiłam się. — Będziemy razem pracować nad kolacją.

Marta przyjrzała mi się z wyraźną ciekawością.

— Czyli to pani będzie zadawać pytania o jedzenie?

— Mam taki zamiar.

— To dobrze. Bo ja mam kilka rzeczy do powiedzenia.

— W takim razie chętnie posłucham.

Marta odwróciła się do Wiesława.

— Widzisz? Można rozmawiać z ludźmi i nie trzeba od razu ustalać wszystkiego za nich.

Nie skomentował. Ja natomiast odnotowałam w pamięci, że kobieta najwyraźniej nie należała do osób, które bezwarunkowo przyjmowały jego decyzje.

— Pokażę pani kuchnię — zaproponowała Marta. — Ale ostrzegam, że dzisiaj jest tam więcej pracy niż miejsca.

— Właśnie takie miejsca najbardziej mnie interesują.

Wiesław spojrzał na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko skinął głową.

— W takim razie zostawiam was w dobrych rękach.

Patrzyłam, jak odchodzi w stronę budynku gospodarczego. Dopiero kiedy zniknął za rogiem, Marta nachyliła się do mnie.

— Niech pani nie bierze wszystkiego, co mówi, za ostateczną wersję wydarzeń.

— Nie zamierzam.

— Dobrze. Bo Wiesiek czasem bardzo chce, żeby wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Nie zdążyłam zapytać, co dokładnie miała na myśli. Marta otworzyła drzwi kuchni i zaprosiła mnie do środka. A ja po raz pierwszy pomyślałam, że najciekawsza część tej pracy może wcale nie znajdować się w winnicy.

Rozdział 2 - To, czego nie wpisuje się do harmonogramu

Kuchnia okazała się znacznie większa, niż sugerował wygląd budynku. Miała dwa szerokie blaty robocze, starą kuchenkę, nowoczesną lodówkę i półki pełne słoików z przetworami. Na parapecie stały doniczki z ziołami, a przy ścianie znajdował się drewniany stół, na którym ktoś zostawił kosz jabłek i miskę śliwek.

Marta nie zaczęła od przedstawiania mi wyposażenia. Najpierw pokazała lodówkę, potem spiżarnię i niewielkie pomieszczenie, w którym przechowywano produkty przeznaczone na posiłki dla pracowników. Dopiero kiedy upewniła się, że wiem, gdzie co się znajduje, podała mi fartuch.

— Nie musi pani niczego kroić — powiedziała. — Chyba że ma pani ochotę.

— Wolałabym najpierw porozmawiać o jedzeniu.

— To proszę usiąść. Kawa?

— Już piłam.

— To dobrze. Tutaj kawa jest raczej narzędziem pracy niż przyjemnością.

Usiadłam przy drewnianym stole i otworzyłam notes. Marta wyjęła z szuflady kilka kartek z zapisanymi propozycjami dań. Nie były to profesjonalnie przygotowane receptury, raczej robocze zestawienia składników i uwagi dotyczące ich dostępności.

— Kolacja ma być elegancka, ale nie przesadnie — wyjaśniła. — Wiesław chce, żeby goście zobaczyli, że

potrafimy przygotować coś wyjątkowego. Ja chcę, żeby ludzie mogli normalnie zjeść, a nie przez trzy godziny patrzeć na talerz.

— Rozumiem.

— I nie chcę żadnych maleńkich porcji, które trzeba opisywać przez pięć minut.

Zaśmiałam się.

— W takim razie chyba się dogadamy.

Zaczęłyśmy od przystawek. Marta zaproponowała pieczone buraki z kozim serem, grzanki z pastą z pieczonej papryki i niewielkie porcje pasztetu przygotowanego według przepisu jej matki. Do tego miały być lokalne sery i chleb na zakwasie. Na danie główne planowała pieczone mięso z warzywami korzeniowymi, a dla osób, które nie jadły mięsa, risotto z grzybami.

— A deser? — zapytałam.

— Szarlotka. Nie taka, którą trzeba fotografować z trzech stron, żeby wyglądała na większą. Normalna, dobra szarlotka.

— Wreszcie ktoś mówi moim językiem.

Marta uśmiechnęła się szeroko.

Rozmawiałyśmy jeszcze przez kilkanaście minut. Opowiedziała mi o dostawcach, o tym, jak zmieniało się menu w zależności od sezonu, i o tym, że większość pracowników woli prosty obiad zjedzony na czas niż wymyślne danie podane godzinę później. Zapisałam kilka nazwisk i poprosiłam o możliwość sfotografowania jej podczas przygotowywania posiłków.

— Jeśli nie będzie pani przeszkadzać — zgodziła się. — Ale mam jeden warunek.

— Jaki?

— Niech pani nie robi ze mnie kobiety, która całe życie spędza przy kuchni, bo lubi uszczęśliwiać innych. Ja po prostu dobrze gotuję i nie mam zamiaru tego ukrywać.

— Umowa stoi.

Kiedy skończyłyśmy, Marta odprowadziła mnie do wyjścia. Na korytarzu minęłam Wiesława, który rozmawiał z jednym z pracowników. Nie przerwał rozmowy, ale kiedy mnie zobaczył, wskazał dłonią na boczne drzwi.

— Jeśli ma pani chwilę, chciałbym coś pokazać.

— Zależy co.

— Miejsce, w którym możemy spokojnie omówić szczegóły kolacji. W kuchni chyba nie było zbyt cicho.

— Było wystarczająco cicho, żeby usłyszeć wszystko, co mówiła Marta.

— W takim razie ma pani przewagę.

— Nie traktuję tego w ten sposób.

Poprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia na końcu korytarza. Znajdował się tam stół, kilka krzeseł i regał z dokumentami. Na ścianie wisiała mapa winnicy, na której zaznaczono poszczególne parcele. Wiesław zamknął drzwi, ale nie przekręcił klucza. Zostawił je uchylone na kilka centymetrów, jakby nie chciał odcinać się od odgłosów gospodarstwa.

— Tutaj możemy pracować — powiedział. — Nie musimy za każdym razem zajmować sali degustacyjnej.

— Praktyczne rozwiązanie.

Położył na stole plan kolacji. Tym razem nie był to gotowy harmonogram, lecz pusta tabela z miejscem na nazwiska, godziny i uwagi.

— Chciałbym, żebyśmy ustalili, co dokładnie przygotujemy w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

— Ja również.

Usiadłam naprzeciwko niego i wyjęłam notes. Przez chwilę omawialiśmy kolejność działań. Ustaliliśmy, że pierwszego dnia skupię się na zbiorze i rozmowach z pracownikami, kolejnego na dokumentowaniu przygotowań w kuchni. W kolejnych dniach będę mogła wracać do wybranych miejsc, jeśli zabraknie mi materiału. Kolację będziemy planować wspólnie, ale Marta pozostanie odpowiedzialna za przygotowanie potraw.

— Chciałbym też, żebyśmy zrobili kilka zdjęć rodzinnych — powiedział Wiesław.

Nie podniosłam od razu wzroku.

— Kogo dokładnie ma pan na myśli?

— Moją rodzinę. Rodziców, siostrę, może jej dzieci, jeśli będą chciały przyjechać.

— Czy wszyscy wiedzą o tym pomyśle?

— Jeszcze nie rozmawiałem z każdym.

— W takim razie nie możemy tego wpisać do harmonogramu jako pewnego punktu.

— Dlaczego?

— Bo ludzie nie są elementami dekoracji. Najpierw trzeba zapytać, czy chcą uczestniczyć.

Wiesław oparł przedramiona na stole.

— To ma być kolacja kończąca sezon. Rodzinna tradycja.

— Czyli zależy panu na pokazaniu rodziny.

— Zależy mi na pokazaniu ludzi, którzy tworzą to miejsce.

— To nie zawsze jest to samo.

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy próbuję go sprowokować.

— Nie rozumiem, dlaczego zakłada pani, że chcę coś udawać.

— Nie zakładam. Po prostu nie wiem, co jest prawdą, a co pomysłem na zdjęcie.

— A jeśli powiem, że zależy mi na tym, żeby moja rodzina była obecna?

— Wtedy zapytam, czy jej członkowie również tego chcą.

Uśmiechnął się lekko, choć w jego spojrzeniu pozostała ostrożność.

— Jest pani trudna do przekonania.

— Nie jestem tutaj po to, żeby dać się przekonać.

— To dobrze. Nie lubię ludzi, którzy zgadzają się ze mną dla świętego spokoju.

— A jednak wydaje mi się, że nie zawsze łatwo przychodzi panu słuchanie odmiennego zdania.

Przez chwilę nie odpowiadał. Potem odsunął dokument i wstał, żeby podejść do mapy.

— Ta część winnicy jest najstarsza — powiedział, wskazując fragment położony bliżej wzgórza. — Mój ojciec posadził tam pierwsze krzewy. Kiedyś było ich znacznie mniej. Teraz to miejsce jest dla nas ważne, choć wymaga coraz więcej pracy.

— Dlaczego?

— Starsze nasadzenia mają swoje ograniczenia. Niektóre odmiany są mniej wydajne, część krzewów trzeba będzie w najbliższych latach zastąpić. Nie wszystko da się zachować w niezmienionej formie.

— Pański ojciec się z tym zgadza?

Wiesław spojrzał na mapę, nie na mnie.

— Mój ojciec ma własne zdanie na ten temat.

To było pierwsze zdanie, które zabrzmiało inaczej niż pozostałe. Nie zawierało żadnego wyjaśnienia, ale po raz kolejny przypomniałam sobie mężczyzn, których widziałam poprzedniego dnia, oraz kartkę schowaną do kieszeni.

— A pańska siostra?

— Dlaczego pani pyta?

— Ponieważ przed chwilą mówił pan o rodzinie jako o ludziach tworzących winnicę. Chciałabym wiedzieć, czy wszyscy mają podobny wpływ na jej przyszłość.

Odwrócił się do mnie.

— Nie wszyscy pracują tutaj na co dzień.

— Ale mają coś do powiedzenia?

— To zależy od sprawy.

Odpowiedź nie była szczególnie wyczerpująca. Nie naciskałam. Miałam świadomość, że dopiero zaczynam poznawać miejsce i ludzi, a zbyt wczesne pytania mogą zamknąć więcej drzwi, niż otworzyć. Zapisana przeze mnie uwaga o rodzinnej zgodzie nie była jeszcze materiałem na historię. Była jedynie początkiem pytania.

— Wróćmy do kolacji — powiedziałam. — Proponuję, żebyśmy nie ustalali obecności nikogo, kto nie potwierdził